

**OPIS ŻYCIA WŁASNEGO W XX WIEKU**

Długotrwałe moje życie dało mi możliwość bezpośredniego udziału w kolejno zmieniających się systemach politycznych, społecznych czy ekonomicznych.

Gdy myślę sięgam wstecz, zastanawiam się w jakim stopniu wpłynęły one na kształtowanie się mojej osobowości i jaką pełniły rolę w osiągnięciu zamierzonego miejsca w społeczeństwie, w dorosłym już moim życiu. Inaczej mówiąc, jak kształtowały się relacje między oddziałującymi odgórnie dyrektywami, a własnym planem, wypływającym z osobistych potrzeb wewnętrznych, z zamiłowań lub pragnień.

Zacznę od lat najwcześniejszych. Urodziłam się w czasie pierwszej wojny światowej, w małym miasteczku. Pierwsze świadome poczucie istnienia zrodziło się w wieku około czterech lat. Pamiętam doskonale, gdy w czasie samodzielnej wędrówki po mieście, zabłądziłam. Pozornie nie ma to znaczenia, ale z czasem uświadomiłam sobie, że chęć poznawania otaczającego mnie świata, zrodziła się we mnie już bardzo wcześnie. Cecha ta wzrastała nieustannie z wiekiem i zapewne, w dużym stopniu, zdecydowała o wyborze zawodu w późniejszych latach.

Ze względu na dużą odległość czasową, sędzę, że nie bez znaczenia byłoby naszkicowanie warunków jakie panowały w początkowych latach nauki. Zaczęłam ją w 1923 roku. Może wydawać się nieprawdopodobnym, w szczególności w zestawieniu z obecnym rozwojem technicznym, że w pierwszych miesiącach nauki posługiwaliśmy się jeszcze rysikiem i tzw. „tabliczką” (z łupki). Wkrótce pojawiły się kałamarze i obsadki ze stalówką, z których byliśmy bardzo dumni.

Brak środków materialnych dla oświaty był odczuwalny na wielu odcinkach. Szkoła mieściła się w starym budynku, a sfatygowane podłogi ugiwały się przy każdym stąpieniu i trzeszczały donośnie. Ilość klas była niewystarczająca, brakowało również wykwalifikowanych nauczycieli, zwłaszcza w pierwszych latach powojennych. Zajęcia w dwóch początkowych klasach prowadziła jedna tylko osoba. W stosunkowo krótkim jednak czasie grono nauczycielskie wzrosło tak, że w wyższych klasach III i IV, poszczególne przedmioty prowadziły już osoby wysoko kwalifikowane. Rzecz godna podkreślenia ze względu na to, że minęło przecież zaledwie kilka lat od ukończenia pierwszej wojny światowej i istnienia wolnej Polski.

Wracając do początkowych lat nauki pragnę podkreślić niezwykłą ofiarność naszej wychowawczynie. Choć obciążona nadmiarem pracy ofiarowywała nam sporo czasu popołudniowego. Pamiętam te miłe chwile spędzane wspólnie po lekcjach z rówieśnikami, zwłaszcza w okresie przedświątecznym. Chroniło to nas przed bezmyślnym spędzaniem czasu. Szczególnie pracowite były przygotowania do przedstawień. Kilkakrotnie odbywały się bowiem w ciągu tygodnia próby tańca. Dzięki niezwykłemu talentowi plastycznemu wychowawczynie, spektakle odbywały się we wspaniałej scenerii. Do organizacji imprez włączało się także społeczeństwo. Rodzice np. przygotowywali kostiumy. W czasie występów tanecznych natomiast przygrywała orkiestra wojskowa, a wśród widzów nie brakowało przedstawicieli miasta, jak również dostojników kościelnych i świeckich. Przedstawienia stanowiły wielką atrakcję zarówno dla „artystów”, jak i społeczeństwa. Tu odniosłam swoje pierwsze sukcesy, gdy po odtańczeniu mazura i poloneza, którym przewodniczyłam jako wodzirej, zostałam przez dostojnych gości obficie obdarowana słodyczami i kwiatami.

Lubiliśmy naszą szkołę, w której panowała serdeczna i ciepła atmosfera. Szczególną troskę nad nami roztaczał zacny dyrektor, którego traktowaliśmy jak najukochańszego ojca. Po ukończeniu czterech lat szkoły podstawowej, kontynuowałam naukę w ośmioklasowym żeńskim Gimnazjum Humanistycznym. Mimo dość dobrej opinii, jaką cieszyła się ta szkoła, z obecnej perspektywy myślę o niej niestety z dużym żalem. Najważniejsze przedmioty bowiem, które odgrywają wiodącą rolę w kształtowaniu myśli i wyobraźni, mianowicie nauka języka polskiego i historii, nie spełniały istotnych zadań. Przez długie następne lata trzeba było systematycznie uzupełniać zaistniałe braki. Jakby na przekór humanistycznemu kierunkowi szkoły, raczej nauki przyrodnicze i języki obce, rozszerzały naszą wiedzę w tych dziedzinach. Dzięki niezwykłej

gorliwości „przyrodniczek”, która znacznie rozszerzyła obowiązujący program szkolny, poprzez organizowanie popołudniowych wycieczek, o różnych porach roku, i zachętę do aktywnego udziału w Kółku Przyrodniczym, zasób uzyskanej wiedzy przyrodniczej stawał się coraz bogatszy. Ponadto obowiązkowe obserwacje czynione indywidualnie w czasie wakacji, wyostrzały nasz zmysł obserwacyjny, uczulając nas równocześnie na wszelkie zmiany zachodzące w naszym najbliższym otoczeniu, w poszczególnych porach roku. Po prostu żyliśmy przyrodą.

Ciekawym zjawiskiem występującym w naszej klasie, była silnie występująca więź społeczna. Wyrażała się ona m.in. w spontanicznie rodzącej się chęci do wspólnego działania, gdy zaistniała tego potrzeba. Np. z okazji połówek przygotowaliśmy dla całej szkoły spektakl ilustrujący „pokazową” lekcję historii. Teksty układałyśmy wspólnie. O zabawie i strojach, które dominują obecnie z tej okazji w szkołach, nie było mowy! Wśród młodzieży panował zdrowy i pełen życzliwości duch.

Mimo dużych trudności finansowych, jakie istniały w dobie poważnego kryzysu lat trzydziestych, dyrekcja szkoły troszczyła się o rozwój kulturalny młodzieży. W ciągu roku odbywały się występy zaproszonych artystów – muzyków, poetów, recytatorów. Najgłębiej zapisała się w pamięci uczennic wizyta wirtuoza Sztopmki. W okresie jego pobytu w naszej szkole, nocował on w gabinecie lekarskim. Dla zapewnienia mu spokoju w godzinach porannych, wyłączono wszystkie dzwonki, a młodzież była zobowiązana do zachowania absolutnej ciszy. Tę drobną odskocznę popeliłam dla podkreślenia wielkiego szacunku jaki Dyrekcja chciała okazać temu wielkiemu, a równocześnie skromnemu pianiście. Skoro mowa o kształceniu kulturalnym i rozrywkach nie sposób pominąć roli Korpusu Kadetów w naszym młodzieżowym okresie. Ścisłe kontakty z tą placówką trwały w przybliżeniu około trzech lat. Do bardziej znaczących imprez należały wspólne występy chórów. Jeszcze dziś, po sześćdziesięciu przeszło latach – słyszę potężne tony Poloneza A – dur Szopena, odśpiewanego przez zespół uczennic gimnazjum i słuchaczy Korpusu. Występy te były ważnym elementem rozwijającym i pogłębiającym ducha patriotycznego. Najbardziej jednak utkwiły w pamięci cotygodniowe taneczne sobótki i trudno sobie wyobrazić, ile to emocji przeżywały dziewczęta, gdy na każdą z nich przypadało co najmniej dziesięciu eleganckich partnerów w mundurach. Do tańca przygrywała ich własna orkiestra. Panował wspaniały nastrój, choć bez alkoholu. I mylnym byłoby przypuszczenie, że udział w wyżej wymienionych imprezach ujemnie wpływał na poziom nauki. Wręcz przeciwnie, uczyłyśmy się chętnie, bez zakłóceń, bo wiedziałyśmy, że czekają na nas miłe, sobotnie wieczory. Ta radość młodzieńcza, którą wyniosłyśmy z omawianego okresu szkolnego, stanowiła swoisty kapitał, który pomógł nam znacznie łatwiej znieść trudne chwile, jakie niejednokrotnie przeżywałyśmy w późniejszym dorostym już życiu.

Dyrekcja szkoły usiłowała również włączyć nas w nurt ważnych, ogólnopolskich problemów. Dotyczyło to m.in. udziału w zakupie żaglowca szkolnego zbudowanego w 1909 roku w Hamburgu. Z uwagi na doniosły fakt odzyskania dostępu do morza, potrzeba rozwoju własnej floty i wyszkolenia odpowiedniej kadry, stała się koniecznością dziejową. Najsilniej problemem tym zainteresowało się społeczeństwo pomorskie, które zorganizowało zbiórkę pieniężną na zakup wyżej wspomnianego obiektu. Miało to miejsce w 1929 roku po czym żaglowiec ofiarowano szkole Morskiej, mieszczącej się początkowo w Tczewie, potem w Gdyni. Odbył on wiele rejsów szkolnych, a na przełomie lat 34 / 35 (od 16 IX 1934 – 31X 1935) – podróż dookoła świata. Poświęcam tej sprawie tyle uwagi, ze względu na to, że jako uczniowie, partycypowaliśmy również w akcji zbiórkowej. W pamięci niektórych moich rówieśników zachowały się nawet pewne dość charakterystyczne szczegóły organizacyjne dotyczące naszych poczynań. Otóż na białym tle dużej planszy, zarysowano drobnymi prostokącikami sylwetę „Daru Pomorza”, które po wykupieniu specjalnych znaczków, uczniowie stopniowo wypełniali. Pozornie był to drobiazg, ale o dużej sile wychowawczej. Wytworzyła się bowiem wówczas swoista łączność pomiędzy tym ważnym i wielce zasłużonym obiektem a nami. Utkwiła ona głęboko w pamięci. I ilekroć razy zwiedzałam „Dar Pomorza”, już po zacumowaniu go na stałe w Gdyni (od 1982 roku), każdorazowo zadrgało mi serce z radości, że i moja „cegielka” w nim tkwi.

Wracając do spraw ogólniejszych chciałabym podkreślić, że atmosfera małego miasteczka, w którym przeżyłam najpiękniejsze okresy mojego życia – dzieciństwo i młodość, miała swoistą cechę.

Istniało w nim bowiem wiele czynników, łączących lokalną społeczność. Wspomnieć by tu można np. cotygodniowe koncerty, które się odbywały na plantach i które ściągały tłumy różnowiekowych słuchaczy, czy też częste imprezy, które zwykle organizowano w byłej strzelnicy. Tym ostatnim przyświecały zazwyczaj cele charytatywne. Szczególną opieką otaczano najmłodsze pokolenia, nad którymi czuwali członkowie bractwa kurkowego W małym miasteczku ludzie czuli się mniej zagrożeni, a wzajemne codzienne kontakty zacieśniały więzy ludzkie.

Z maturą, którą zdałam w 1935 roku skończył się mój beztroski okres młodzieńczy. Z czym stanęłam do nowego, samodzielnego życia? Przede wszystkim wynieśliśmy pozytywny stosunek do drugiego człowieka. Byliśmy ufni. Gorzej natomiast przedstawiał się zasób uzyskanej wiedzy, szczególnie z zakresu nauk humanistycznych i matematyki. Tymczasem najbliższa przyszłość nie zarysowywała się zbyt optymistycznie. Utrzymywał się wciąż jeszcze ciężki kryzys ogólnoswiatowy. Bezrobocie było zjawiskiem powszechnym. Rodziców nie było stać na opłacenie studiów poza miejscem zamieszkania. Nie stwarzało to szans na kontynuowanie nauki. Minął jeden rok, dość jałowy. Przygotowywałam się do ewentualnych studiów. Poza tym, prywatnymi lekcjami, zbierałam wstępny fundusz na osobiste wydatki, które by mnie wówczas czekały, w wypadku ewentualnych studiów poza domem. Z założenia w grę nie wchodziły studia uniwersyteckie, jedynie nauka w jakiegokolwiek szkole pomaturalnej, dająca szansę szybszego usamodzielnienia się. Wybór padł na dwuletnie studium pedagogiczne w Państwowym Pedagogium w Warszawie. Naukę pobierałam tam w okresie 1936 – 38. Były to dość specyficzne studia. Głównym zamierzeniem uczelni, zgodnie z jej nazwą, było przygotowanie nauczycieli do pracy w szkole podstawowej. Stąd szczególny nacisk kładziono na przedmioty dość ściśle związane z pedagogiką oraz psychologią i socjologią. Istniała również możliwość wyboru specjalizacji: humanistycznej (historia i język polski), matematycznej (matematyka i fizyka) oraz przyrodniczej (przyroda i geografia). Pod względem organizacyjnym obowiązywał system semestralny. Było to jedno z nielicznych podobieństw do studiów uniwersyteckich. Program nauk specjalistycznych natomiast odbiegał niestety od nich znacznie. Uważać by go można raczej jako ich fazę wstępną. Godnym natomiast podkreślenia była wyraźnie zarysująca się tendencja wszechstronnego rozwoju słuchaczy, tak w sensie kulturowym, jak i społecznym. Mając na uwadze trudne warunki w jakich niejednokrotnie musieliby żyć i pracować w przyszłości nauczyciele, starano się przygotować ich możliwie wszechstronnie. Uczono nawet stolarki, przygotowującej przyszłego nauczyciela do ewentualnego wykonywania we własnym zakresie, podstawowych pomocy naukowych. Dokładano wiele starań by udostępnić nam w jak najszerszym zakresie osiągnięcia kulturalne stolicy. Dzięki zniżkowym biletom uczestniczyliśmy we wszystkich przedstawieniach, które się odbywały w Teatrze Wielkim. Dla lepszego ich zrozumienia wygłaszano wstępnie specjalną prelekcję na temat wystawianej sztuki i jej autora. Pod kierownictwem znanej w całej Polsce plastyczki prof. Wandy Telakowskiej, zwiedzaliśmy aktualne wystawy w Zachęcie, natomiast znawcy miasta Warszawy organizowali wycieczki zapoznające nas z charakterem i rozwojem poszczególnych jej dzielnic. Co sobotę, po zajęciach uczestniczyliśmy w koncercie fortepianowym odtworzonym przez wybitnego muzyka, naszego profesora Hławiczkę. W okresie zimowym korzystaliśmy z krytego basenu, zorganizowanego przez YMCA. Ogólnie mówiąc umożliwiano nam korzystanie z wielu osiągnięć stolicy. Tę dbałość i troskę o wszechstronny rozwój słuchaczy i podniesienia poziomu naszej kultury, należy podkreślić ze szczególnym szacunkiem i wdzięcznością, gdyż były one udziałem naszych wykładowców, którzy bezinteresownie ofiarowywali nam swój wolny czas. Pożegnałam tę wspaniałą szkołę, wzbogaconą duchowo i intelektualnie. Ale przede mną – znów niepewna przyszłość. Kryzys wciąż trwał. Uzyskanie pracy w szkole granoczyło omal z cudem. Wszelkie moje starania były daremne. Nie chcąc być ciężarem dla rodziny, zdecydowałam się na przyjęcie posady nauczycielki w prywatnym domu na wsi. To była moja pierwsza ciężka próba życiowa. Uczennica, z którą musiałam się borykać przez cały rok szkolny, była upośledzona psychicznie.

Miała ogromne trudności z czytaniem i pisaniem. Nie mając odpowiedniego przygotowania i praktyki, popełniałam zapewne wiele błędów. Dziecko reagowało krzykiem, płaczem i nerwowymi podskokami. Byłyśmy obie zatrzwożone. A pomocy fachowej ze strony bardziej doświadczonych osób nie mogłam oczekiwać. Dwór stał bowiem w całkowitym odosobnieniu. Oczywiście moja wychowanka nie zdała egzaminu końcowego i nie wypłacono mi pensji za pół roku. W czasie pobytu na dworze kujawskim zetknęłam się także z trudnymi problemami nękającymi rolników. Od czasu do czasu, gdy pracownicy najemni nie otrzymywali w porę wynagrodzenia za swoją pracę, wzburzony tłum podchodził pod dwór, krzycząc i złorzecząc z zaciśniętymi pięściami. Dopiero, gdy właścicielka zdołała uzyskać pieniądze od swego żydowskiego wierzyciela i przekazać je zbuntowanym robotnikom, ci – uspokojeni wracali do swoich domostw. Smutne były te pierwsze kroki mojego samodzielnego życia. Poczucie całkowitej zależności wywoływało we mnie uczucie głębokiego przygnębienia. To też radość moja była ogromna, gdy zarysowała się możliwość uzyskania pracy w szkole w Rawie Mazowieckiej. Radość ta trwała jednak niezmiernie krótko. W trakcie podpisywania umów z Inspektorem mianowicie, przekazano telefonicznie z Warszawskiego Kuratorium zlecenie wstrzymania wszelkich umów. Wróciłam smutna i zawiedziona do krewnych z Warszawy. A wojna zbliżała się milowymi krokami. Nie wiedziałam co począć. Na Pomorze, do stron rodzinnych, bałam się wrócić w przeczuciu nieszczęść, które mogłyby tam spotkać polską inteligencję, po wkroczeniu niemieckiej armii. Moim staruszkom w Warszawie nie chciałam być ciężarem. To też gdy usłyszałam w radiu informację, że ostatni pociąg dla ludności cywilnej odjeżdża do Krakowa w przededniu wojny o północy, postanowiłam opuścić Warszawę. Podróż trwała całą dobę. W drodze do Radomska spotykaliśmy już pierwszych rannych. Na miejsce dotarliśmy późnym wieczorem, następnego dnia. W Krakowie panowała atmosfera wojenna. Na każdy alarm pasażerowie wyskakiwali z autobusów, chroniąc się w pobliskich przejściach pomiędzy zabudowaniami. Wystraszona, samotna, wśród obcego tłumu, na nieznanym mi gruncie, wyskakiwałam również, dołączając do ludzi szukających schronienia.

Wreszcie ruszył pierwszy autobus. Jechałam w nieznaną, do wsi, w której mieszkała, przypadkowo poznana, jeszcze w czasie mojego pobytu na Kujawach, siostra mojej byłej chlebodawczyni. Zapraszała mnie wówczas do siebie jako ewentualną wychowawczynię swojego syna. W chwili, gdy znalazłam się w sytuacji bez wyjścia, przypomniałam sobie wyżej wspomnianą propozycję. Autobus wreszcie ruszył. W miarę zapadania zmroku, wzrastała we mnie trwoga. Jechałam przecież do całkowicie mi nieznanego miejsca. Nie wiedziałam, gdzie wysiąść. Kierowca również nie znał swej trasy. Bywają jednak sytuacje, które wydają się pozornie całkowicie nierealne. I tak było w moim przypadku. Przysłuchując się rozmowie pasażerów, słyszę, gdy do jednego z nich zwracają się, tytułując go „dziedzicem”. A że domy ziemiańskie utrzymywały kontakty między sobą, w zamieszkującej przez nich okolicy, zapytałam więc nieśmiało tegoż dziedzica czy nie zna przypadkiem Państwa P.? (czyli moich znajomych). Okazało się, że byli oni bliskimi jego sąsiadami. I nastąpił wówczas moment nieoczekiwany. Zapytany przeze mnie zaproponował mi szarmancko opiekę i podwiezienie swoimi końmi (które go miały oczekiwać), do miejsca mego przeznaczenia. I tak w tej całej zawierusze wojennej, zjechałam eleganckim powozem pod sam dwór! Sytuacja jak w bajce. Zaskoczeni moim niezapowiedzianym zjawieniem się, znajomi, przyjęli mnie bez zastrzeżeń. Istniejąca sytuacja ogólna była jednak niepewna. Ruszyły już tłumy pierwszych uciekinierów z południowej Polski, zwłaszcza ze Śląska. Strudzeni, prosili o chleb i wodę. Niepokój wzrastał. Wkrótce i moi znajomi wyruszyli z domu z zamiarem przeczekania frontu w majątku dziadka, w rejonie Działoszyc. Lecz i tam była podobna sytuacja. Niemcy przygotowywali „kocioł” pod Skalbierzem. Wśród ludności panował niepokój i trwoga, wzmagane przez fałszywe alarmy, siane przez szpiegów. Kobiety np. otrzymywały telegramy o śmierci mężów lub synów. Jakież było zaskoczenie, gdy Ci, po kilku dniach, wracali żywi i cali. Wzajemna nieufność rosła nawet między żołnierzami. W domu seniora np. w którym się zatrzymaliśmy, jeden z oficerów rzucił podejrzenie o szpiegostwo, na korzystającego z gościny właściciela, sierżanta. W jednej chwili dom został otoczony żołnierzami w pełnym rynsztunku bojowym. „Oblężenie” trwało kilka godzin, do późnej nocy, dokąd się sytuacja wyjaśniła. Zdenerwowani domownicy dawali mi do zrozumienia, że przybyłam nie w porę. Postanowiłam odłączyć się od nich i ruszyłam z tłumem w nieznaną.

Doszłam do okolic Buska. Tu spotkałam przypadkowo koleżankę z tej samej uczelni, którą ukończyłam. Rodzice jej opiekowali się dworem, opuszczonym przez właścicieli oraz uciekinierami. Mimo rozgorzałej już wojny, łatwiej mi było wśród młodszych rówieśników zachować równowagę ducha. Wkrótce i tu, po kilku dniach, rozegrała się potyczka. Niewielka grupka polskich żołnierzy, znalazła się w potrzasku. Walka trwała jedną noc. Po pokonaniu Polaków, żołnierze niemieccy ruszyli dalej, a we wsi nastąpił chwilowy spokój. Wrócili też wkrótce właściciele majątku. Nie pozostało mi nic innego, jak powrót do swoich znajomych. W ciągu dwóch dni przeszłam pieszo kilkadziesiąt kilometrów, nocując w przygodnym, napotkanym dworze. W jaki sposób doszłam bez mapy i znajomości terenu do znajomych, nie potrafię sobie do dziś wytłumaczyć. Przyjęto mnie ponownie życzliwie. Nie mając chwilowo żadnego wyjścia, gdyż powrót do rodzinnych stron był niemożliwy, zdecydowałam się ponownie na podjęcie opieki nad dzieckiem znajomych. Tak jak większość ówczesnych Polaków, sądziłam że wojna się wkrótce zakończy. Rzeczywistość okazała się jednak inna. Kolejne cztery lata, które przeżyłam, to okres udręki, samozaparcia i mało produktywnego wysiłku. Uzależniona całkowicie od chlebobawców, nie miałam możliwości rozwinięcia jakiegokolwiek pracy społecznej. Pragnienie kontynuacji studiów, na długo jeszcze pozostało w sferze marzeń. Dzień wypełniały lekcje z podopiecznym, natomiast po południu – kilkugodzinne głośne czytanie. Żadnych kontaktów z rówieśnikami. Atmosfera domowa dość osobliwa. Pan domu, choć był uczciwym i dobrym człowiekiem, lecz niestety – uzależniony, w drugim stadium delirium. W jego trybie życia istniał swoisty rytm. Po kilkudniowym normalnym zachowaniu, następował okres pełen napięcia i nieustannego picia. Domownicy przemycali się wówczas bezszelestnie, by nie rozdrażnić Pana. Po wypiciu maksymalnej dawki, nastąpił okres „pokuty” o chlebie i wodzie. Panowała wówczas atmosfera względnego spokoju, do następnego cyklu. Przedstawione wyżej warunki nie sprzyjały rzecz jasna normalnej pracy wychowawczej. Gdy przyjęto na moją propozycję, dwoje dzieci wiejskich, lekcje odbywały się w bardziej sprzyjających warunkach.

Życie w odosobnieniu, bez możliwości rozwoju własnego programu życiowego, przy konieczności ciągłego dostosowywania się do narzuconego ogólnie programu sprawiło, że moja odporność psychiczna słabła. W ciągu dnia miałam tylko jedną godzinę wolną, do swojej dyspozycji. Biegałam wówczas po wzgórzach wyśpiewując z głębi serca całą swoją tęsknotę za domem rodzinnym, przyjaciółmi, wolnością. Jedynie co drugą niedzielę wolno mi było odwiedzić poznane nauczycielki z sąsiedniej wsi, lub uczestniczyć w mszy świętej, w oddalonym o kilka kilometrów kościele. Choć zdawałam sobie sprawę, że wielu moich współrodaków żyło w stokroć gorszych warunkach wojennych, jednak konieczność tłumienia wielkich zasobów energii, jakie wnosi młodość, było także swoistą niewolą. W końcu po upływie czterech lat udręki psychicznej, popadłam w ciężką depresję. Jedyłą pomocą mogła być, według opinii lekarza, zmiana miejsca i warunków. I niespodziewanie – los okazał się dla mnie tym razem łaskawszy.

Otóż z ramienia R.G.O., jedynej polskiej organizacji społecznej, działającej oficjalnie na terenie Generalnej Guberni, utworzono w niezbyt odległej wsi, w Przemkowie Dom Dziecka. Zarząd gminy w Koszycach, któremu ta placówka podlegała, zaproponował mi pracę, w charakterze wychowawczynie zdając sobie sprawę z czekających mnie trudności, zdecydowałam się na przyjęcie w. wymienionej propozycji. Najistotniejszym motywem, którym się kierowałam, była perspektywa samodzielnego działania i możliwość przebywania wśród normalnych ludzi.

W Domu Dziecka przebywało sześćdziesięcioro dzieci, które wywieziono w 1944 roku z byłych południowo wschodnich rubieży Polski, w celu uratowania ich przed szalejącą tam pożogą wojenną. Zastępczym domem rodzinnym stała się ubogo wyposażona szkoła. Zanim nastąpił względnie znormalizowany rytm życia, upłynęło kilkanaście dni. Najtrudniejsze były początki. Dzieci przybyły bowiem bez jakiegokolwiek ekwipunku. Należało więc na wstępie doprowadzić ich odzież codzienną do stanu używalności, a więc zdezynfekować i wyprać. Lęk i twoga ogarnęły mnie, co począć z tak liczną gromadką, bez jakichkolwiek pomocy szkolnych. Na szczęście dopisywała nam pogoda, umożliwiająca organizację gier i zabaw na świeżym powietrzu. Powoli tryb życia normalizował się stopniowo. W początkowym okresie wakacyjnym odbywałyśmy gromadnie wycieczki. Ze zbliżającym się rokiem szkolnym, trzeba było pomyśleć

o zorganizowaniu nauki. Ponieważ do opieki nad dziećmi wyznaczono spośród ogólnego personelu trzy osoby, podzieliłyśmy odpowiednio nasze podopieczne. Mnie przypadły w udziale dzieci młodsze, mieszczące się w granicach od I do IV klasy. Nie miało to jednakże większego znaczenia, gdyż większość dzieci była analfabetami. Warunki, w których uprzednio żyły, uniemożliwiały im korzystanie z normalnej nauki szkolnej. Trzeba było stosować wyjątkową ekwilibrystykę umysłową, by sprostać czekającemu mnie zadaniu. Jedyłą pomocą, którą dysponowałyśmy, była tablica szkolna, a resztę uzupełniały patyczki oraz moja prywatna biblioteczka, którą zdołałam skompletować w czasie minionych czterech lat wojennych. Resztę uzupełniałam wiedzą, zdobytą w trakcie moich studiów pedagogicznych.

Zbliżała się jesień, a z nią coraz więcej dni pochmurnych i dżdżystych. W czasie długich jesiennych wieczorów urządzałyśmy śpiewy chóralne. Dysponując kilkoma śpiewnikami zdołałam rozszerzyć repertuar znanych mi pieśni. Dzieci lubiły te „śpiewne” wieczory. Myślę, że wraz z tęskną i nastrojową melodią, uwalniały się choć częściowo z gnębiących je wspomnień. Bywały jednak i radośniejsze chwile. Wszak w naszym gronie nie brakło kilkoro nastolatków. Postanowiliśmy więc urządzać od czasu do czasu „wieczory taneczne”. Wszystkie prycze zsuwałyśmy do jednego kąta, by uzyskać więcej wolnej przestrzeni. „Orkiestrę” zastąpił chór młodszych dzieci. Miłe i radosne były te „spotkania towarzyskie”.

Mimo ubóstwa jakie panowało w Domu Dziecka, usiłowałyśmy niektóre tradycyjne święta, jak np. dzień św. Mikołaja, uczcić bardziej, uroczyściej. Największym problemem było przygotowanie paczuszek ze słodyczami. No cóż – należało z pokornym sercem zastukać do drzwi mieszkańców wsi. Wprawdzie nie zebrano kokosów, nie mniej z uzyskanych „darów” w postaci cukru, jajek, mąki, orzechów itp. Zdołano upiec przeróżne ciasteczka, z pierniczkami włącznie. Wieczór mikołajkowy odbył się w niecodziennym nastroju. Przygotowany przez nas – wychowawczynie, tekst przedstawienia, pąsy, aniołków otulonych prześcieradłami, piękne melodie odśpiewane przez „chór”, przy akompaniamencie gitary, sprawiły, że nasza gromadka znalazła się choć przez chwilę w innym, niecodziennym świecie. Byliśmy wszyscy bardzo zadowoleni. Do miłych wspomnień należały także takie wieczory, w czasie których starsze dziewczęta wykonywały na drutach skarpetki i pończochy z wełny. Przy pracy tej towarzyszyły im śpiewające młodsze dzieci. Ten względnie unormowany rytm, zakłóciła nieco grupa pogorzalców warszawskich, przybyła po upadku powstania. Należało im odstąpić jedną z sal, co utrudniało prowadzenie zajęć. Ponadto dżdżysta pogoda jesienna sprawiła, że liczba zachorowań wzrastała się. W izolacie zaczęło brakować miejsc i sypialnia przekształciła się stopniowo w szpitalik. Opieka lekarska była znikoma. Z powodu braku komunikacji międzyosiedlowej, zdobywanie leków było utrudnione. Ósmego grudnia 1944 roku opuściła nas nieoczekiwanie kierowniczką, przekazując mi całkowitą opiekę nad Domem Dziecka. Początkowo, nie zaznajomiona z całokształtem jego organizacji, czułam się bezradna, tym bardziej że nasza stołówka, stanowiąca podstawowy dział naszej egzystencji, od początku rządziła się własnymi prawami. A posiłki, z każdym dniem były coraz uboższe. Tymczasem front wojenny zbliżał się w szybkim tempie. W tej atmosferze, przyjmującej coraz bardziej ponury charakter, nadeszły święta Bożego Narodzenia. Choć kierowniczką kuchni przygotowała uroczystą kolację, zgodnie z lokalną tradycją, jednakże wbrew oczekiwaniom, nie było świątecznego nastroju. Wręcz przeciwnie, zamiast radości, rozległ się donośny szloch. Tłumiona w głębi tych młodocianych serc tęsknota za rodzinnym domem, za swoimi bliskimi, drogimi ich sercu, przebrała miarę. Smutna była ta nasza ostatnia, wojenna gwiazdka.

Wobec zwiększających się trudności aprowizacyjnych, postanowiłam skontaktować się z Dyrekcją R.G.O. w Krakowie. Dotarcie do tego miasta nastręczało sporo kłopotu. Można było jedynie skorzystać z przypadkowo jadących tam ciężarówek. Zabrałam się jedną z nich. W drodze, kilka kilometrów przed Krakowem, zatrzymali nas nieoczekiwanie żołnierze niemieccy. Brutalnie wyrzucając wszystkich pasażerów z platformy i popychając każdego, pozostawili nas w szczerym polu. Tymczasem zapadał już zmrok. Roztropniejsi pasażerowie zatrzymali się u okolicznych gospodarzy. Ja, za namową bardziej przedsiębiorczego osobnika, ruszyłam z małą grupką osób w kierunku miasta. Konsekwencje tego były wręcz tragiczne. Nie wiedziałam bowiem, że miasto przy wylotach głównych arterii otaczało drucziane opłotowanie, a wejście do centrum po godzinie policyjnej było zabronione. Co odważniejsi omijali główne wejście

przeciskając się nielegalnie do wnętrza przez dziury. Gdy udało mi się przemyścić przez jedną z nich, znalazłam się w szczerym polu. Księżyc oświetlał śnieżną, białą powierzchnię, na której każda „zjawa” była natychmiast dostrzeżona. Nagle usłyszałam groźny krzyk „halt!” oraz ujadanie psów. Na szczęście biegły one w odwrotnym kierunku, ścigając prawdopodobnie innego uciekiniera. Wiedzioną instynktem, cofnęłam się, usiłując przecisnąć się przez inny dostrzeżony otwór. I tak znalazłam się niestety w obrębie miasta. Zatrwożona usiłowałam znaleźć jakikolwiek nocleg. Pukałam kolejno do coraz to innych mieszkań. Wobec obowiązującego tu zakazu przyjmowania obcych przybyszów, starania moje były omalże beznadziejne. Wreszcie zapukałam do okien małej chatynki. Drzwi otworzył mi skromny człowiek. Jak się później okazało, był to woźnica krakowski. Choć mieszkał z żoną i dzieckiem w jednej, skromnej izbie i przyjął już na noc innego, zawieruszonego przybysza, ale nie odmówił mi schronienia. Tak więc spędziłam pod stołem, na podłodze, tę dość niezwykłą noc. Byłam jednak w głębi serca wdzięczna temu odważnemu i dobremu człowiekowi, który mi podał pomocną dłoń w tak krytycznym momencie. Następnego dnia, rankiem, skontaktowałam się z Dyrekcją R.G.O., przekazując alarmujące wieści o naszym Domu Dziecka. Wstępnie ustaliliśmy konieczność jego likwidacji. Jednak wobec niepewnej sytuacji wywołanej zbliżaniem się frontu, ustalenie terminu należało przesunąć na kilka tygodni. Po moim powrocie do Przemykowa, musiałyśmy przetrwać jeszcze niejedną trudną chwilę. Dysponując kluczami przekazanymi mi przez byłą kierowniczkę, znalazłam w szafie zwoje materiałów. Natychmiast poleciłam miejscowej krawcowej uszyć dla wszystkich dziewczynek fartuszki z rękawkami, a dla chłopców spodenki i kilka płaszczyków. Gorzej było z aprowizacją. Oczekiwaliśmy z niecierpliwością frontu. Momenty zgrozy zbliżały się z każdym dniem. Już z dala słyszeliśmy huk dział. Nastawialiśmy wówczas mocno już rozregulowany gramofon, aby zagłuszyć niepokojące odgłosy dochodzące z pola bitew. W przede dniu zderzenia się żołnierzy radzieckich z niemieckimi, rozdzieliliśmy się na trzy grupy. Dwie przygarnęła miejscowa ludność do swoich schronów piwnicznych, z trzecią pozostałam ja, wraz z pielęgniarką, w podziemiach szkoły. Za budynkiem niedobitki niemieckie ustawiły kilka działek, a na przeciwnym, pobliskim brzegu Wisły, atakowały wojska radzieckie. Byłyśmy więc na „gorącej” linii. W porze obiadowej następowała krótka przerwa. Nasi dzielni chłopcy, wykorzystali ją, by nam dostarczyć z kuchni ciepły posiłek. Jak już wspomniałam, przetrwaliśmy w ukryciu trzy dni. Ostatniego ranka usłyszeliśmy tupot męskich stóp. To było nasze pierwsze spotkanie z żołnierzami radzieckimi. Wyższy rangą oficer przywitał nas życzliwie, zapytując – czego nam potrzeba. Poprosiłam go o chleb dla dzieci. Po kilkunastu chwilach zjawiał się żołnierz niosący wspaniale pachnące bochenki. W związku z nieoczekiwanym zdobyciem pożywienia spotkała nas jeszcze jedna niespodzianka. Otóż po wymianie ognia obu walczących grup wojennych, drogi były zasłane ogłuszonymi kurami. Fachowcy kulinarni nie mieli zastrzeżeń co do możliwości ich skonsumowania. Po odpowiednich więc przygotowaniach ugotowaliśmy w dwóch ogromnych kotłach wspaniały rosół. Takiej uczyty nie mieliśmy w czasie całej naszej wspólnej bytności w Przemykowie. Było to dla nas o tyle istotne, że zapasy kuchenne kurczyły się niepokojąco i zaczął nam dokuczać głód. Zaczęły nam dokuczać jeszcze inne dolegliwości, związane zwłaszcza z brakiem środków dezynfekcyjnych. Wyjazd nasz okazał się sprawą nagłą. Podjęłam więc decyzję natychmiastowego, powtórnego skontaktowania się z Dyrekcją R.G.O. Czekała mnie podróż w okresie ogólnego zamętu wojennego, wywoływała we mnie zrozumiały lęk. Nie było jednak innego wyjścia. Po porozumieniu się z lokalnym dowództwem, uzyskałam zezwolenie na przejazd do Krakowa wojskowym wozem. Pozornie wszystko wskazywało na to, że drogę powinnam odbyć bez zakłóceń. Tymczasem kierowca okazał się człowiekiem nieodpowiedzialnym, a nawet niebezpiecznym. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów bowiem, zatrzymał się żądając ode mnie wódki. Stanowczym tonem oświadczyłam, że jadę, by ratować dzieci i on nie ma prawa stawiać mi jakichkolwiek warunków. Widocznie moja siła wewnętrzna, jaka się we mnie zrodziła, z obawy także o swoje życie, sprawiła, że znów ruszyliśmy w dalszą drogę. Scena taka powtórzyła się jeszcze dwukrotnie. Doznałam ulgi, gdy dotarliśmy do Czyżyn. Znajdował się tu ważny punkt kontrolny. Teraz, już bez dyskusji, musiałam wysiąść i opuścić mój pojazd. Wprawdzie do Krakowa odległość nie była już tak duża, i mogłabym ostatecznie dojść pieszo do miasta, gdyby nie ciężka walizka, wypełniona

książkami, które chciałam uratować przed ewentualnym zaginięciem. Byłam zrozpaczona, gdyż znikąd nie mogłam oczekiwać pomocy. Ale i tym razem los mi sprzyjał. Podeszłam do platformy pełnej żołnierzy radzieckich. Poprosiłam kierownika grupy o pomoc i o dziwo, nie odmówił mi. I tak szczęśliwie dojechałam do samego centrum miasta. Dość osobliwa scena jak na stosunki wojenne. Sama jedna kobieta, wśród gromady wojaków! Nazajutrz skontaktowałam się z Dyрекcją R.G.O. Po przedstawieniu naszej sytuacji w Domu Dziecka, uzyskałam zgodę na zlikwidowanie go. Uspokojona pozytywnym załatwieniem swojej misji, szukałam możliwości powrotu do Przemysłowa. Początkowo sytuacja wydawała się beznadziejna. Niosąc walizkę (już na szczęście opróżnioną) oraz koc, przeszłam kilka kilometrów pieszo. W drodze posiłkami się kawałkami czarnego chleba, otrzymanego od znajomych, gasząc pragnienie śniegiem. Ruch na szosie był już bardziej ożywiony i wkrótce udało mi się napotkać na ciężarówkę, zdążającą w kierunku mojej wsi. Uważałam to jako wielkie szczęście, bo tęgi mróz dawał się we znaki. Pod wieczór dotarliśmy dość blisko Przemysłowa. Droga zlodowaciała uniemożliwiała pokonanie napotkanego wzniesienia. Ostatni więc odcinek drogi należało przebrnąć w osamotnieniu. Przede mną ośnieżone pole i szczerą pustką. Choć księżyc oświetlał całą okolicę, nie mogłam jednak dostrzec żadnego znaku orientacyjnego. Posuwałam się naprzód, wiedziona instynktem. W pewnym momencie czułam, że krążę wokół tego samego punktu. A ręce marzły niemiłosiernie. Obludzone rękawiczki nie spełniały już swego zadania. Zrozpaczona i bezradna, siadłam w małym zagłębieniu. Obok mnie – znów ta nieszczęsna walizka! Wprawdzie już opróżniona, ale zawsze swoją wartość przedstawiała. Pozostanie nocą na szczerym polu, w czasie tak dużego mrozu, było nieprawdopodobieństwem. I nagle wpadła mi genialna myśl do głowy. Przywiązałam mianowicie walizkę do koca, zaś drugi jego koniec przytrzymałam łokciem, co mi umożliwiło pociąganie jej po śniegu. Ręce wsunęłam w rękawy, ratując dłonie przed odmrożeniem. Z takim to ładunkiem, dumna ze swego pomysłu, ruszyłam przed siebie. Wreszcie w dali zamajaczyły drzewa – znak osiedla ludzkiego. Ruszyłam w ich kierunku. Instynkt nie zawiodł mnie. Dobrnęłam do cmentarza. Wszelkie lęki przed duchami, wyniesione jeszcze z dzieciństwa, znikły w tym momencie całkowicie. Przeciwnie, uważałam, napotkane groby, wraz ze spoczywającymi w nich zmarłymi, jako najbliższych sprzymierzeńców. Wkrótce dotarłam do swego celu. Stałam przed naszym Domem w osłupieniu. Okna i połowę drzwi otulały zwoje śniegu. Zima była w tym roku wyjątkowo mroźna i śnieżna. Dzieci przywitały mnie okrzykami radości. Wzruszyło mnie to niewypowiedziane. Mimo zimna wybiegły do wsi, w celu zdobycia dla mnie ciepłego mleka i chleba od gospodarzy.

Dzień likwidacji się zbliżał. W początkach lutego wyruszyliśmy, ulokowani w dwóch olbrzymich wozach, wyścielanych słomą. Snuliśmy się w tym kilkudziesięciu stopniowym mrozie, po obludzonej szosie. W połowie drogi, w Brzesku, krótki postój na gorącą kawę i posiłek. Wkrótce ruszyliśmy w dalszą drogę. Ponieważ pomiędzy naszymi wozami był znaczny odstęp, nie zauważyliśmy, kiedy tylny uległ uszkodzeniu, na skutek obłuzowania koła. Tak więc sama posuwałam się naprzód z moją gromadką. Gdy dotarliśmy do Krakowa, zapadł już zmrok. Cisza wokół, jakby całe miasto zamarło. Obowiązywała bowiem godzina policyjna. Tylko tupot kopyt końskich rozlegał się swoistym rytmem. Po przybyciu do siedziby Dyrekcji spotkało nas wielkie rozczarowanie. Dozorca mianowicie, nie poinformowany o naszym przyjeździe, nie wpuścił nas, podając adres innego przytułku. Lecz i tu rozczarowanie. Przysłowiowa droga od Annasza do Kajfasza. Wreszcie znaleźliśmy pomieszczenie w przytułku dla bezdomnych dla tułaczy powojennych i innych zagubionych osobników, mieszczący się przy ulicy Starowiśnej. Przyjęła nas niezmiernie serdecznie kierowniczka tegoż domu, która okazała nam zrozumienie i szczerą współczucie. Chociaż przytułek był całkowicie przepełniony, bo nawet i na korytarzach zalegali ludzie, jednak nie odmówiono nam pomocy. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazła się jedna izdebka, choć mała, ale czyściutka, po dezynfekcji. Uraczono nas nawet gorącą kawą. I tak, po całodziennym podróży, moje podopieczne spędziły całą noc, siedząc na swoich tłumoczkach. Czuliśmy się tam bezpieczni i spokojni. Dzieci zachowywały się niezwykle dzielnie. Mimo znużenia daleką drogą, nikt się nie skarżył, ani też nie grymasił. Poczułam wobec nich niezmierny szacunek. Nazajutrz zaopiekowała się nami dyrekcja R.G.O. Na jej zlecenie odwiozłam dzieci do lepiej zorganizowanego ośrodka. Nastąpiło rozstanie. I wreszcie powrót do rodzinnych stron. Nie kursowały jeszcze regularne pociągi. W zakresie ruchu



kolejowego panował chaos. Osiągalne były jedynie pociągi towarowe, o nieokreślonych kierunkach docelowych. Wybierałam więc na wycucie takowy, który według osobistego mego mniemania winien mnie zbliżyć do stron rodzinnych. Czekala mnie zatem daleka i niepewna droga, z południowego krańca Polski, ku północy. Uprzednio należało przygotować nieco żywności. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Dyrekcja R.G.O. przyznała mi nagrodę za opiekę nad dziećmi i odstawienie ich w przyzwoitym ubranku. Otrzymana wówczas kwota w wysokości 500 zł była w moim mniemaniu niezmiernie wysoka wobec faktu, że w banku wolno było wymienić posiadane stare pieniądze jedynie w tej wysokości. Pierwszy więc raz poczułam się „bogaczem”. Starczyło na chleb, trochę smalcu, tłuszczu i jajek, zakupionych na „czarnym rynku”. I ruszyłam na Północ Polski, tym razem do dobrze mi znanych i bliskich memu sercu stron. Podróż trwała około 6 dni. Kilkakrotnie trzeba było się przesiadać, by trafić do właściwego pociągu. Na niektórych odcinkach jeździło się, stając na stopniach wagonu. Jednak radość, wynikła ze świadomości uzyskania wolności, była tak wielka, że najtrudniejsze nawet warunki, znosiło się bez szemrania. Nie odczuwało się nawet zimna, mimo dużych mrozów, jakie wówczas panowały w Polsce. Było to na początku lutego 1945 roku. Bywały odcinki, które przejeżdżało się otwartymi wagonami. Na przedostatnim przystanku w okolicy Łodzi, jechaliśmy na rurach, stanowiących rzekomo część sprzętu wojennego. Noc była gwiazdna, a z komina parowozu wydostawały się snopy iskier. Sceneria wyjątkowa – szczególnie w momencie, gdy rozległ się nasz wspólny śpiew gromadny! Dotarliśmy do Łodzi. Tu atmosfera stawała się bliższa memu sercu, tym bardziej, że od tej stacji - do Aleksandrowa kursowały już pociągi osobowe. Nie dojechaliśmy bezpośrednio do Torunia. Kilka kilometrów od stacji musieliśmy do Podgórzka przejść pieszo. Na miejscu zastaliśmy komfort. W budynku znajdującym się w pobliżu dworca, oczekiwał nas Czerwony Krzyż. Pokoje były ciepłe, ogrzane, a gorąca czarna kawa uświadomiła nam, że już naprawdę jesteśmy wśród swoich. Z powodu uszkodzenia mostu, musieliśmy poczekać do rana. W Toruniu odnalazłam ciocię, u której przenocowałam. Pociągi do mego rodzinnego miasta kursowały jeszcze nieregularnie. Chcąc dobrać jak najszybciej do upragnionego celu, zdecydowałam się skorzystać z furmanki. Ostatni kilkunastometrowy odcinek drogi odbyłam już pieszo. I tak znalazłam się znów w rodzinnym domu. Dzięki troskliwej opiece mojej matki staruszki, wkrótce wróciły mi siły. Po kilku dniach odpoczynku, zgłosiłam się do Dyrekcji miejscowego Gimnazjum, w celu podjęcia pracy. Gdy uświadomiłam sobie, że nareszcie zarysowała się przede mną perspektywa rozwinięcia normalnego programu pracy, serce moje przepełniło się radością. Wraz z gronem nauczycielskim przystąpiliśmy ochoczo do uporządkowania wnętrza gmachu. Pomoce szkolne, zabrudzone mapy i książki leżały porzucane na podłogach. Wspólnym wysiłkiem udało się nam wkrótce doprowadzić całość do oczekiwanego ładu. Naukę rozpoczęliśmy już 1 marca 1945 roku – gdy w pobliskim Grudziądzu toczyły się jeszcze boje. Ten początkowy okres powojenny wspominam ze szczególnym uczuciem. Młodzież spragniona nauki w języku ojczystym pracowała z radosnym zapałem. I ona włączała się ochoczo do prac społecznych. Na pierwszym zebraniu organizacyjnym Młodzieżowego Koła PCK, którego byłam opiekunką, uczestniczyli prawie wszyscy uczniowie. Głównym naszym zadaniem była dbałość o higienę osobistą oraz opanowanie umiejętności udzielania pierwszej pomocy. W ułożeniu i realizacji programu współpracowałam z lekarzem szkolnym, który był człowiekiem pełnym inicjatywy i życzliwości. W wyjątkowych sytuacjach działaliśmy także poza zasięgiem szkoły. Z okazji tygodnia PCK np. zaprezentowaliśmy udział tych wszystkich państw świata, które uczestniczyły w akcji udzielania pomocy Polsce. Sceneria była dość niezwykła. Na wielkiej platformie umieściliśmy olbrzymi globus, a wokół niego, przy podstawie – uzyskane dary. Barwnymi taśmami połączono je z miejscowościami ich pochodzenia. Na drugiej platformie zaprezentowaliśmy gabinet PCK. Obie ruchome wystawy obsługiwała sama młodzież szkolna. Jej zasługą było także wypożyczenie platformy oraz koni pociągowych. Cieszyła mnie ta pozytywna współpraca z uczniami.

W Gimnazjum pracowałam do września 1946 roku, a więc nieco ponad 1,5 roku. Równocześnie zapisałam się na studia w nowo organizującym się Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. W miarę zwiększającej się liczby obowiązkowych przedmiotów nastąpiła kolizja z rozkładem moich zajęć w Gimnazjum, a studiami. Skłoniło mnie to do rezygnacji w szkole, z

równoczesnym przejściem pracy w PCK, we wrześniu 1946 roku. Istniała tu możliwość ułożenia bardziej swobodnego programu, a w szczególności rozwinięcia szerokiej gamy prac społecznych, zarówno w obrębie miasta, jak i poza jego granicami, na wsi. Liczne wyjazdy, wygłaszanie referatów, wyświetlanie filmów itd. były pasjonujące, ale niestety, oddalało mnie to znowu od nauki. To też z radością przyjął propozycję objęcia stanowiska zastępcy asystenta na U.M.K., od stycznia 1947 roku. Wprawdzie kierunek, któremu musiałam się początkowo poświęcić, nie odpowiadał w pełni moim zainteresowaniom, ale nowa placówka ściślej związała mnie z Uczelnią. Wymarzone od lat pragnienie kontynuacji studiów uniwersyteckich zaczęło nareszcie przyjmować realną postać. Niestety zbyt wiele lat upłynęło od chwili ukończenia studiów pedagogicznych (9 lat !). W normalnej sytuacji powinnam być już absolwentem, a nawet doktorem ! Los zrządził inaczej, a zaistniała luka w nauce, w bardzo dotkliwy sposób odczuwałam przez długie lata. Niemal trudna była włożyć, by sprostać nowemu zadaniu. Mimo pozorowanej normalizacji, istniejące warunki materialne hamowały w poważnym stopniu możliwości studiowania. Otrzymywana pensja starczała zaledwie na dziesięć dni (Miałam wówczas matkę na całkowitym utrzymaniu). Trzeba było uzupełniać budżet dodatkowymi pracami zleconymi. Dużą pomocą służyła wówczas dobrze prosperująca „Bratnia Pomoc” i „Caritas Akademicki”. Sporadycznie wykonywałam dość osobliwą, jak na ówczesną moją pozycję, pracę, mianowicie uczestniczyłam w audycjach radiowych. Pierwszy mój występ miał miejsce w okresie stosowanego jeszcze systemu „na żywo”. W czasie prób przygotowawczych, w których uczestniczył także zespół artystów Teatru Toruńskiego, nie uwzględniono wszystkich szczegółów. I gdy stanęłam przed mikrofonem z kolegą, który podobnie jak ja, pełnił rolę lektora świetlicowego, zastosowano nieznaną mi uprzednio sygnał. Zaczęłam wskutek tego, swoje przemówienie nie w porę. Bardzo boleśnie odczułam to pierwsze swoje niefortunne wystąpienie. Choć pod względem finansowym była to impreza bardzo korzystna, jednak przez dłuższy okres czasu nie skorzystałam z następnych propozycji.

Dopiero po upływie kilku lat, gdy już zaczęto stosować system odtwarzania z taśmy, moje późniejsze wystąpienia, w których relacjonowałam uzyskane wyniki moich badań terenowych, realizowałam bezstresowo. W dotychczasowej pracy najbardziej pasjonowała mnie praca terenowa. Wielką zasługą naszego kierownika prof. Stelmachowskiej, było zorganizowanie wyprawy badawczej do regionu nadleśkiego, zamieszkałego przez Słowińców. Była to pierwsza po II wojnie światowej pionierska praca badawcza w tej okolicy. W sierpniu 1948 roku, dotarliśmy z pięcioposobowym zespołem do miejscowości Kluki, które były naszą bazą wypadową. Oprócz niewielkiej grupy autochtonów, liczba ludności napływowej była wówczas znikoma. Wiele gospodarstw było niezamieszkałych. Dorodne owoce, pod ciężarem których uginały się drzewa i krzewy w opuszczonych sadach, wprost zapraszały nas do zrywania ich. Najistotniejszą naszą zdobyczą był odnaleziony plan wsi i przyległych przysiółków, wykonany przez byłego miejscowego nauczyciela w 1923 roku. Wszystkie elementy fizjograficzne i antropogeograficzne m. in. strumyki, przystanie rybackie, przysiółki, były określone w języku słowińskim. Uzyskaliśmy zatem jeszcze jeden, z wymownych dowodów słowińskiego pochodzenia mieszkańców tego regionu. Wyniki przeprowadzonych tu badań przedstawiłam w artykule zamieszczonym w czasopiśmie krajoznawczym „Ziemia”, z 1948 roku. Była to równocześnie moja pierwsza publikacja. Moje zainteresowania naukowe zaczęły stopniowo wnikać coraz głębiej. W 1949 roku obroniłam pracę magisterską z zakresu Etnografii i Etnologii. Po czym znów nastąpił moment nieoczekiwany, który sprawił, że znalazłam się na rozdrożu. Dalsza moja praca w zakładzie bowiem, była uzależniona od podjęcia decyzji całkowitego związania się z Etnografią. Tymczasem znacznie bliższa memu sercu była geografia. Zawahałam się. Po krótkim namyśle dałam odmowną odpowiedź. Zostałam zwolniona z pracy. Tymczasem współpracowniczka moja, która podobnie jak ja, równolegle studiowała geografię, zataiła ten fakt. I pozostała. Zastanawiałam się nad sprawiedliwością losu. Wtem, po kilkunastu zaledwie minutach – usłyszałam pukanie do drzwi. Zjawił się nieoczekiwany kolega, z propozycją przejścia jego stanowiska w geografii. A więc prawda jednak zwyciężyła ! Odtąd rytm pracy mojej uległ całkowitej zmianie.

Zakres nauk geograficznych znacznie się rozszerzył. Przybyły nowe dyscypliny, pogłębiły się metody. Sytuacja moja stawała się coraz trudniejsza, bo nie ukończyłam jeszcze studiów

geograficznych. Należało więc wpięć wykonać drugą pracę magisterską, ze specjalności którą obrałam i której już nigdy nie zmieniłam. Było nią osadnictwo. A że zainteresowania mego nowego kierownika koncentrowały się początkowo wokół tzw. „Ziem Odzyskanych”, przypadło mi ponownie w udziale wybrzeże. Zadaniem moim była analiza osadnictwa, wzdłuż linii brzegowej – od Darłowa do Szczecina. Był rok 1949. Biorąc pod uwagę ogólną sytuację polityczną jaka wówczas istniała, zaostrowana zwłaszcza w pogranicznej strefie nadmorskiej, czekające mnie przedsięwzięcie kryło w sobie wiele niebezpieczeństw. Nie dysponowałam żadnymi środkami komunikacyjnymi, ani ochroną. Poprosiłam więc przyjaciółkę z Gdańska, by mi towarzyszyła. I tak w lipcu dwie samotne, młode jeszcze dziewczyny, ruszyły w nieznane. Wybrzeże było wówczas pod ścisłą obserwacją W.O.P –u. Zgodnie z obowiązującym prawem, musiałam zgłaszać się w napotkanych placówkach wojskowych. Co też uczyniłam – ale, jak się później okazało, nie dość dokładnie. Wędrówka wzdłuż morza dostarczała nam niesłychanych emocji szczególnie na mierzejach zamykających jeziora przybrzeżne. Zachowały się tu małe wioseczki, nie tknięte jeszcze współczesną kulturą. Małe chatki, o konstrukcji szachulcowej, szopy rybackie, zbudowane najczęściej ze starych kutrów, które wraz z rozwieszonymi sieciami, tworzyły swoisty krajobraz. Tu panował po prostu inny świat. Dotarcie do niektórych miejscowości było nawet niebezpieczne. Mosty przerzucone ongiś nad ujściami wód uchodzących do morza, były przeważnie zerwane. Zastępowano je m.in. prymitywnymi, nie zabezpieczonymi szynami, na których łatwo było stracić równowagę. Łódki, którymi przewozili nas rybacy, do wsi, położonych na przeciwległych brzegach jezior, były dziurawe, a wodę wdzierającą się gwałtownie do wnętrza, należało bez przerwy wylewać. Emocji było moc. Szczytowym „uwieńczeniem” ich, był siedmiodniowy areszt, spędzony w więzieniu koszalińskim. Na szczęście nastąpiło to po odjeździe mojej koleżanki. Oczekując na przyjazd drugiej osoby, nie zgłosiłam się chwilowo u miejscowych władz wojskowych. Przeżyłam dość przykro tę niecodzienna przygodę, czując się wyraźnie pokrzywdzona. Wszak przed rozpoczęciem badań terenowych, zgłosiłam się w placówce W.O.P –u..... W wyniku napotkanych trudności trasa moich badań uległa skróceniu, obejmując jedynie odcinek od Darłowa do Kołobrzegu, który przebyłam pieszo.

Drugą pracę magisterską z geografii obroniłam w 1950 roku. Poważną przeszkodą w pogłębianiu i zdobywaniu wiedzy geograficznej była konieczność dodatkowego wykonywania szeregu prac poza obowiązującym limitem, jak np. opieki nad biblioteką i mapiarnią. Szczególnie ta ostatnia była niezwykle absorbująca, wręcz niebezpieczna. Za każde zaginięcie mapy bowiem, zwłaszcza tajnej, groziły poważne konsekwencje.

Układy personalne także nie były pomyślne. Już w 1954 roku kierownik przyjął drugi etat w Warszawie, co ograniczało jego częstsze przyjazdy do Torunia. Tym czasem liczba studentów wzrastała, a zakres wymagań rozszerzał się. W związku z koniecznością doksztalcenia się i braku kierownika na miejscu, zaczęłam jeździć na konsultacje do bardziej doświadczonych i zaawansowanych pracowników Instytutu Geograficznego U.W.

W 1952 roku wyszłam za mąż. W dwa lata później urodziłam pierwsze dziecko. Po upływie następnych dwóch – drugie. Sytuacja moja skomplikowała się zatem jeszcze bardziej. A warunki materialne były wyjątkowo trudne. Wspominam ten okres jako istne szamotanie się pomiędzy obowiązkami zawodowymi, a osobistymi, życiowymi. Nie sprzyjało to rozwojowi naukowemu. Nauka wymaga przecież ciszy, skupienia i nieustannego pogłębiania wiedzy. Tymczasem w mojej sytuacji, była to po prostu walka o utrzymanie się na powierzchni. W podobnym położeniu było wielu pracowników uniwersyteckich, którzy nie tylko musieli borykać się ze zdobywaniem koniecznych środków do życia, lecz także nadrabiać utracone lata z powodu wojny. Pełnieniu wielu obowiązków, często ponad własne siły, towarzyszyły częste stresy. Jednak wobec stojących przede mną zadań, nie wolno mi było poddawać się im. Tym bardziej, że w 1961 roku zostaliśmy pozbawieni jakiegokolwiek kierownictwa, a cały ciężar organizacyjny spoczywał na mnie. Sytuacja taka utrzymywała się przez kilka lat. W 1969 roku zostałam oficjalnie mianowana kierownikiem Zakładu. Podstawowym założeniem moim było zorganizowanie wszystkich, wykrylizowanych już wówczas w Polsce, specjalizacji oraz zwiększenie liczby pracowników. Ten ostatni moment miał na celu całkowite usamodzielnienie się i uniezależnienie od dojeżdżających osób, które dotąd ratowały naszą trudną sytuację. W

krótkim stosunkowo czasie liczba przydzielonych nam etatów wzrosła niepomniernie, z dwóch, do ośmiu. Młodzi pracownicy, którzy mieli już możliwość odbycia normalnych studiów, wkrótce się usamodzielnili. Dzięki temu ukształtowały się zręby w pełni funkcjonującego Zakładu Geografii Ekonomicznej. Cały zespół współuczestniczył w kolejno przygotowywanych opracowaniach monograficznych, obejmujących zarówno tereny b. województwa bydgoskiego, toruńskiego, Doliny dolnej Wisły, aglomeracji Toruńsko – Bydgoskiej oraz szereg miast. Opracowania te dostarczały wiele cennego materiału, przydatnego zwłaszcza dla instytucji Planowania Gospodarczego oraz przyczyniły się do spopularyzowania wiedzy o otaczającym nas regionie.

Osobiście skoncentrowałam się nad problematyką osadnictwa, zarówno miejskiego, jak i wiejskiego. Na czołowe miejsce, wśród analizowanych przeze mnie zjawisk, wysuwałam problem przemian zachodzących w funkcji i strukturze morfogenetycznej osiedli. Takie nastawienie wynikało głównie ze względów pragmatycznych. Przy obecnym tempie dokonujących się zmian, istotne znaczenie miało m.in. uchwycenie przetrwałych elementów, które z kolei winne być zachowane, ze względu na ich historyczne znaczenie. Poznanie stopnia rozwoju osiedli natomiast i ich powiązania z zapleczem okazało się przydatne szczególnie w okresach wprowadzania nowych podziałów administracyjnych (pod wpływem których tworzyły się nowe związki międzyosiedlowe). Wyniki moich badań przedstawiłam w licznych monografiach wykonanych na zlecenie władz wojewódzkich, Polskiego Towarzystwa Geograficznego, Toruńskiego Towarzystwa Kultury oraz Toruńskiego Towarzystwa Naukowego. Mój współdział z osobistego punktu widzenia oceniam dwójako. Pozytywnym efektem, dającym dużą satysfakcję, była świadomość o przydatności tych prac zarówno pragmatyczna, jak i popularyzatorska. Natomiast gdy punktem wyjścia stała się ogólna ocena dorobku autorskiego, odnosiłam wrażenie, że włożony trud często nie był dostrzegany. Do niedawna bowiem, osoby korzystające z poszczególnych opracowań dla własnych celów, w większości wypadków, cytowały jedynie głównego redaktora całości pracy zbiorowej, z pominięciem właściwego autora. W wyniku tego, ten pozostawał w cieniu. Mimo wszystko jednak odpowiadała mi taka forma pracy, zwłaszcza ze względu na jej społeczny charakter. Ceniłam kontakty z ludźmi, nawiązywane w czasie przeprowadzonych wywiadów. Pasjonowało mnie także śledzenie wszelkich procesów, dokonujących się w naszym środowisku i współdziałanie w szukaniu odpowiednich rozwiązań. W okresach szczególnie ważnych, jakimi były np. wprowadzane nowe podziały administracyjne, czy ustalanie innych, niż dotychczas kryteriów w hierarchii sieci osadniczej, usiłowałam nawiązać bliższą współpracę z instytucjami, kierującymi tymi zarządzeniami. Szczegółowy materiał, uzyskiwany w terenie, był niejednokrotnie dla nich przydatny. Niestety, usiłowanie moje, by zyskać poparcie ze strony władz instytutu nie zawsze znalazły właściwe zrozumienie, a z trudem zdobywane i opracowywane materiały były niewykorzystane w sposób właściwy. To nie jedyny przypadek braku zrozumienia moich planów, zmierzających do podniesienia rangi zakładu. Z tych samych też względów starania moje o dokoptowanie nowych, młodszych specjalistów z dziedziny osadnictwa nie zyskały poparcia. Mając na uwadze fakt zbytnio już zaawansowanego wieku oraz znacznego ubytku sił i sprawności po przebyciu ciężkiej choroby, usiłowałam zdobyć następcę, który by rokował dalszy rozwój uprawianej przeze mnie dziedziny. Niestety, usamodzielnieni już miejscowi pracownicy pozostałych specjalności, ze względów konkurencyjnych, torpedowali moje zamierzenia. Wszelkie więc moje starania o podtrzymanie dalszego rozwoju geografii osadnictwa, która miała już utrwaloną u nas tradycję, spełzyły na niczym. Nie w mojej naturze tkwią zbyt wygórowane cechy ambicjonalne, czyli osiągnięcie pozycji za wszelką cenę. Skoncentrowałam więc moje wysiłki na uzyskaniu możliwie wysokiego poziomu w dziedzinie bardziej mi odpowiadających zajęć dydaktycznych. Częściowo zapewne wpłynęło też na to moje przygotowanie uzyskane w czasie studiów pedagogicznych w Warszawie. Dość liczne wyjazdy zagranicę umożliwiły mi przygotowanie bogatego materiału, przydatnego w przygotowaniu wykładów i seminariów. Tak więc praca ze studentami zajęła dominującą pozycję w ostatnim etapie mego aktywnego życia. W świetle powyższego zrozumiała była moja satysfakcja, jaką odczułam, gdy w plebiscycie na „Najlepszego Dydaktyka

wydziału BiNoZ”, zorganizowanego przez SZSP (1980 rok), uzyskałam drugie miejsce (po Rektorze Bohrze).

Druga część programu pracy w Instytucie, stanowiły badania własne i przygotowanie kolejnych publikacji. Dotyczyły one rozwoju przestrzennego i funkcjonalnego wsi i miast. Głównym terenem badań była Ziemia Chełmińska i Dobrzyńska.

Mimo dużego obciążenia obowiązkami zawodowymi, partycypowałam też w pracach społecznych, jako członek różnych stowarzyszeń naukowych i kulturalnych. Już od początku studiów byłam ściśle związana z Polskim Towarzystwem Geograficznym. W ramach jego działalności, współuczestniczyłam w organizowaniu zjazdów, wycieczek, kursokonferencji, akcji odczytowej w Toruniu oraz w pobliskich miastach i zagranicą. W 1971 roku zostałam członkiem miejscowym Wydziału III-go Toruńskiego Towarzystwa Naukowego i Komisji Popularyzacji Nauki. Wielką wagę przywiązywałam do rozwijania wiedzy geograficznej wśród młodzieży. W okresie 1956 – 75 byłam członkiem Społecznej Komisji do spraw Krajoznawstwa i Turystyki powołanej przez Wojewódzki Ośrodek Turystyczno – Krajoznawczy przy Kuratorium Oświaty i wychowania w Bydgoszczy. W ramach tej komisji współdziałałam w zakresie programowania pracy krajoznawczej w szkole, organizacji obozów badawczo – naukowych, konkursów i szkoleń opiekunów Kół.

Zajęcia wakacyjne z młodzieżą szkolną dawały mi dużą satysfakcję, podchodziła ona bowiem do zleczonych im zadań z dużym oddaniem i szacunkiem. Bywały sytuacje, gdy zamiast wypoczynku w godzinach wolnych, wolały wykonywać powierzone im zadanie.

W roku 1981 przeszłam na wcześniejszą emeryturę, ze względu na przebytą w.w. chorobę. Zdobyte doświadczenia i głęboko zakorzeniona miłość do pracy naukowo – badawczej, nie pozwoliły mi na całkowite odejście od niej. Opublikowałam jeszcze kilka prac, które wykorzystałam w innej już atmosferze, bez pośpiechu, a co najważniejsze – z własnego wyboru.

Okres emerytalny, który wbrew ogólnej, negatywnej opinii, w moim przypadku – oceniam pozytywnie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, świat stanął przede mną otworem! Odwiedziłam kilka państw europejskich (Belgia, Holandia, Niemcy Irlandia, Malta itd.) i „przefrunęłam” czterokrotnie Ocean Atlantycki. Nie odeszłam jednak od poprzednich założeń. Każdy wyjazd był okazją do przygotowania nowych prelekcji. Moje wypady były starannie przygotowane, a przeprowadzone obserwacje koncentrowały się na tych zjawiskach, które wynikały ze specyfiki zwiedzanego regionu. W Irlandii np. zafascynowały mnie relikty kultury celtyckiej i wpływ działalności św. Patryka na kształtowanie świadomości narodowej. Z kolei na Malcie, maleńkiej wyspie, zaledwie półtora razy większej od powierzchni miasta Toruń, byłam zaskoczona mnogością wspaniałych budowli, zarówno sakralnych, jak i świeckich, w tym szczególnie potężnych fortyfikacji, zbudowanych przez Braci Maltańskich. Przeto na nich przede wszystkim skupiła się moja uwaga. Nie przypuszczałam, że spotka mnie tam zaszczyt nie lada, mianowicie bezpośrednie przywitanie z samym wielkim mistrzem! Tytuł jego brzmi imponująco: Wysokość Era Andrew Bertie, Książę i Wielki Mistrz Sowerennego Orderu Militarnego Malty. Uczestniczył on w posiedzeniu, które odbyło się z okazji odnowienia najstarszego fortu st. Angelo w Birgu, przewidzianego ponownie na główną siedzibę Zakonu. Samo moje dojsście, miało niecodzienny charakter. Na salę obrad bowiem dotarłam w towarzystwie halabardzisty, ubranego w historyczny strój, który mi wskazywał drogę! Ameryka z kolei zafascynowała mnie swoistym rytmem i wspaniałą organizacją całokształtu życia w najruchliwszym ośrodku świata jakim był do niedawna Nowy Jork. Śledziłam przemiany miast, w których trudno się było doszukać starych elementów. A jeśli udało mi się uchwycić je, doznawałam dużej satysfakcji. Zbierany skrzętnie materiał, opracowywałam po powrocie, przygotowując następne referaty. Pozwoliło mi to na zachowanie aktywności, a to z kolei chroniło przed lękiem, który często nawiedza ludzi w procesie starzenia się. A gdy sił ubywało i stopniowo, z konieczności wycofywałam się z dalszych podróży, pozostawały mi jeszcze mniejsze wypady, już na swoim, polskim gruncie, które też nie były pozbawione uroku.

Poszukiwanie dróg do odnalezienia sensu życia skłoniło mnie do współuczestniczenia w „mini klubie” założonym spontanicznie przez sześćoosobową grupę miłośników literatury. Co miesięczne spotkania towarzyskie wypełnione ożywioną dyskusją, okazały się dobrym

panaceum na wszelkiego rodzaju stresy. Warunkiem podstawowym w walce ze starością, jest bowiem podtrzymanie poczucia życia. Niezmiernie pomocnym czynnikiem w realizacji tych zamierzeń okazały się wartości wyniesione z wieloletniego kontaktu z nauką. To ona pobudziła umysł do nieustannego poszukiwania prawdy, która nadaje sens życiu. Dlatego mimo bardzo trudnych warunków bytowych, w ostatecznym rozrachunku, umiłowanie pracy naukowej i możliwość jej kontynuowania, uważam za wartość nadrzędną, wobec wszystkich pozostałych. Pięknie i przekonująco wypowiedział się na ten temat profesor Stefan Świeżowski (T.P. Nr 6 II 2002) – „Uświadomienie sensu (życia) jest największym szczęściem człowieka”. Idąc tą drogą, byłam w dużym stopniu niezależna od zmieniających się ideologii. I to zapewniało mi spokój wewnętrzny.

*Z rękopisu przepisała Daniela Szymańska i odczytała Autore: Profesor Eugenii Kwiatkowskiej, która upubliczniła ten opis wysyłając go na konkurs.*